

Wiatr  
który  
Szepiał



**PIOTR JAKUB KARCZ**

Wiatr,  
który  
szepiał

**PIOTR JAKUB KARCZ**

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz  
Zdjęcie nocnego nieba na okładce: Anna Karcz

ISBN e-book: 978-83-8166-469-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo  
[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)  
Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.  
Wydanie I 2025

*Gdy byłem w twoim wieku, intrygowały mnie gwiazdy. Już jako ósmiolatek potrafiłem rozpoznać wszystkie widoczne gołym okiem konstelacje. Odległości, które dzielą nas od nich uzmysławiały mi, jak mały jest człowiek w stosunku do wszechświata.*

*Dzisiaj wiem, że gwiazdy są na wyciągnięcie dłoni.*

*Profesor François Ayrault*

*Niniejszą powieść dedykuję tej, która nauczyła mnie patrzeć w gwiazdy.*

*Ani, mojej Ani...*

# Prolog

**Lipiec 1986**

Chłopiec wszedł na najwyższe piętro klatki schodowej. Pod-ekscytowany i lekko przestraszony, upewnił się, że wejście na strych nadal jest otwarte.

Delikatnie pchnął drewniane drzwi i prosto z najwyższego stopnia wszedł w mrok. Z każdym krokiem robiło się ciemniej, a serce zaczynało bić szybciej.

Oddychał powoli, delektując się zapachem staroci. Czuł strach, lecz mimo to był opanowany. Jakikolwiek lęk przegrywał walkę z ciekawością i zamiast zniechęcać, odblokował w nim dodatkowe pokłady odwagi.

Minął porozrzucane na podłodze kukielki, które w wyobraźni chłopca przybierały karykaturalne kształty. Kierował się tym razem ku odgradzonej zbutwiałymi drzwiami dalszej części strychu. Zrobił kilkanaście kroków, które ze względu na skrzypiącą podłogę wydawały się trwać wieczność.

Nagle stare zasłony zawirowały poruszone silniejszym podmuchem wiatru, który przedzierając się przez szczeliny nieszczelnych okien, wydawał przeraźliwy pisk, jakby kogoś rozdzierano na strzępy.

Ośmiolatek zatrzymał się zlany zimnym potem. Na całym ciele miał gęsią skórkę. Potrzebował kilkunastu sekund, by

upewnić się, że nic mu nie grozi. Wtedy zauważył, że jasny słup światła padający z okna uformował na podłodze kształt przypominający strzałkę. Przyjął to za dobry omen i zgodnie ze wskazówką podążył w głąb strychu.

Po chwili dostrzegł je. Niewielkie, drewniane pudełko, częściowo przykryte rupieciami, pokryte warstwą kurzu. „To skarb” – pomyślał i ruszył szybciej, nie zwracając uwagi na to, że podłoga przed nim była dziurawa niczym szwajcarski ser.

Gdy tylko jego palce musnęły upragniony przedmiot, spróchniałe deski podłogi nagle zapadły się, pociągając za sobą ośmiolatka. Chłopiec zdołał w ostatniej chwili chwycić się krawędzi, rozpaczliwie machając nogami w poszukiwaniu oparcia, jakby niewidzialna drabina mogła go ocalić. Próbował się wspiąć – nadaremnie.

Spadł. Przerazony krzyk wydarł się z jego ust i po chwili odbił echem od ścian. A jednak... to nie było echo. Rozległ się kolejny wrzask – należał do równie zaskoczonego chłopca, w którego pokoju nieoczekiwanie wylądował. W półmroku dostrzegł znajomą twarz. To był jego kolega ze szkoły.

\*

## **Wrzesień 1991**

To było beztrioskie i napiętniejsze pięć lat w życiu Adama i Grzegorza. Nietypowe okoliczności ich spotkania zbudowały między nimi więź tak silną, że stali się nierozłączni. Wspólne przeżycia zbliżyły ich do siebie w sposób, którego nie dało się łatwo wytłumaczyć słowami. Stali się nie tylko

przyjaciółmi, ale i partnerami w każdej misji. Rozumieli się bez słów.

Janczary, choć na pierwszy rzut oka wydawały się senne i zapomniane przez świat, były miejscem pełnym tajemnic. W miasteczku od pokoleń krążyły opowieści o Wędrowcu. Oficjalnie nikt z dorosłych do końca nie wierzył w ich prawdziwość, ale dzieci unikały jak ognia miejsc, gdzie według owych historii można go było spotkać.

Jedną z owianych złą sławą lokacji była kaplica na wzgórzu, stojąca pośrodku starego cmentarza. To tam dwaj nierozłączni przyjaciele postanowili wybrać się pewnego jesiennego wieczoru. Kilka dni wcześniej wujek Mieczysław opowiedział Grzesiowi starą legendę, która od pokoleń krążyła wśród mieszkańców Janczar.

– Wędrowiec – zaczął Mieczysław, siedząc przy stole z gorącym kubkiem herbaty w dłoni – to postać, która pojawia się tylko w nocy. Ludzie mówią, że nie chodzi o zwykłego człowieka, ale o coś więcej – projekcję win i tajemnic tych, którzy zostali dotknięci czymś nieczystym.

Zaintrygowany Grześ spojrzał na wuja.

– A co dokładnie ma wspólnego z Janczarami?

Mieczysław uśmiechnął się lekko, zaciągając się dymem z papierosa.

– Mówi się, że Wędrowiec zawsze pojawia się tam, gdzie jest niesprawiedliwość albo gdzie prawda została zniekształcona. To cień tych, którzy muszą zapłacić za swoje błędy.

Grzegorz wpatrywał się w płomień świecy, myśląc o słowach wuja.

\*

Późnym wrześnieowym popołudniem chłopcy wyruszyli w stronę wzgórza. Droga prowadziła przez gęsty park, w którym panował chłód i cisza. Ta cisza była niczym wstrzymany oddech miejsca, które widziało zbyt wiele.

Niosący latarkę Grzegorz próbował rozładować napięcie żartami, ale Adam był niespokojny. Gdy dotarli do kaplicy, księżyc rzucał blade światło na zniszczone nagrobki.

– Myślisz, że ten Wędrowiec naprawdę istnieje? – zapytał Grzegorz, przystając na chwilę, by poprawić plecak.

Adam wzruszył ramionami, wpatrując się w gęstniejący mrok.

– Nie wiem. Ale coś mnie tutaj ciągnie. Jakby to miejsce chciało, żebyśmy przyszli.

Grzegorz spojrzał na niego z lekkim niepokojem, ale postanowił nie drążyć tematu. Para trzynastoletków dotarła na miejsce, gdy ostatnie promienie słońca ginęły między konarami pożółkłych drzew.

Kaplica była mała, nadgryziona zębem czasu. Jej drewniane drzwi skrzypiały na wietrze, a przez wybite okna wpadał księżycowy blask. Wokół rozsiane były nagrobki porośnięte mchem i niemal wtopione w ziemię.

Adam poczuł dreszcz przebiegający po plecach, gdy podszedł bliżej ze specjalnie przyniesionym na tę okoliczność prętem. Patrzył na metalowy skobel, który zabezpieczał wejście do podziemi.



Grześ zerknął na Adama trzymającego narzędzie w gotowości. Obaj wiedzieli, że po tym nie będzie już odwrotu. Nie mogli się cofnąć.

– Gotowy? – zapytał Adam, choć w jego głosie brzmiała raczej pewność niż pytanie.

Jego kolega tylko skinął głową. Zamachnął się i wykorzystując ciężar swojego ciała, z całym impetem napał na prowizoryczną dźwignię.

Dźwięk zgrzytającego metalu przeszył powietrze. Z każdym ruchem skobel poddawał się coraz bardziej, aż w końcu odskoczył, a drzwi stanęły otworem, ukazując ciemny korytarz. Z wnętrza powiało nienaturalnym zimnem.

Przez chwilę żaden z chłopców nawet się nie poruszył, a kaplica, w której spędzili już tyle czasu, nagle stała się obca, groźna.

Grześ zapalił latarkę. Drżące światło rzucało niepokojące cienie na ściany. Adam odwrócił głowę, czując, jak powietrze w pomieszczeniu staje się cięższe.

– To tu – mruknął, wskazując na schody. Szli powoli, krok za krokiem. Światło ich latarek tańczyło na kamieniach, oświetlając coraz głębsze ciemności. Każdy krok wydawał się głośniejszy, a cisza wokół nich tylko potęgowała wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

Szli dalej. Ich cienie zlewały się z ciemnością. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, pleśni i czegoś jeszcze, czego nie potrafili zidentyfikować. Adam czuł podekscytowanie, a każdy ruch wydawał się spowolniony. Ciemność zdawała się ich pochłaniać, a jednocześnie prowadzić.

Nagle Adam zatrzymał się, skupiając swoją uwagę na czymś, co go zaniepokoiło w labiryncie korytarzy.

– Zobacz! – wykrzyknął.

Grzegorz skierował latarkę we wskazane miejsce. Ich oczom ukazało się pomieszczenie przypominające gabinet lekarski z ogromnym stołem pośrodku. Zimne, bezwzględne, przesycone cieniem grozy, który zdawał się wypełniać każdy kąt.

Adam zauważył coś dziwnego.

– Dlaczego to wygląda tak, jakby ktoś tu niedawno był? I czemu jest tak czysto? – zapytał, wskazując na blaty, na których stały fiołki wypełnione różnymi płynami.

Chłopcy poczuli coś, czego nie potrafili wyjaśnić – nienaturalny lęk, który wkradł się do ich umysłów, jak gdyby nie pochodził z ich własnych ciał, lecz przybył z zewnątrz. Był obcy i niepokojący. To dziwne uczucie grozy sprawiło, że w panice wybiegli z kaplicy.

– Ciii, ktoś tu jest – szepnął Adam. Jego głos drżał, gdy spojrział w kierunku drzew.

Zamarli w bezruchu, bacznie rozglądając się wokół. Każdy dźwięk wydawał się wyolbrzymiony. Serca biły im szybciej, a oddechy były płytkie i nierówne. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, niemal zatrzymując czas.

Adam odnosił wrażenie, że ciemność przed nim zaczyna ożywać, formując kształt, który zdawał się go obserwować. Przeszył go niepokojący chłód, tak przenikliwy, że z jego ust unosiły się obłoki pary, jakby powietrze wokół zamarzało. W mroku wszystko mogło być złudzeniem, a wzrok z łatwością mógł go zwodzić. Grobowy nastrój spotęgował gwał-

towny podmuch wiatru, który szeptał coś niezrozumiale. Chłopiec poczuł, jak jego serce przyspiesza, niemal wyrwijąc się z piersi. Gdy w panice odwrócił na chwilę głowę, kształt, który widział przed momentem, zniknął, a wiatr nagle ucichł. Grzegorz spojrział na niego. Był blady jak ściana.

– Widziałeś to? – zapytał.

Adam tylko skinął głową. Potrzebował dobrego kwadransa, aby się uspokoić.

Droga powrotna upływała im w milczeniu. Obaj chłopcy czuli, że coś się zmieniło, choć nie potrafili tego opisać. Na rozstaju ulic, gdzie mieli się rozejść, nie padło ani jedno słowo.

Gdy Grzegorz zbliżał się do domu, dochodziła pierwsza w nocy. Z daleka dostrzegł migające niebieskie światła. Stojąca przy klatce schodowej karetka nie wróżyła nic dobrego. Wchodząc po schodach, usłyszał ciche szmery, które nasilały się, w miarę jak zbliżał się do mieszkania. Na górze zastał ojca siedzącego w milczeniu z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Co się stało? – zapytał z niepewnością w głosie.

Ojciec podniósł wzrok, a w jego oczach odbijał się ból i łzy.

– Mamusia... Twoja kochana mamusia... – odpowiedział cicho, łamiącym się głosem. – Przeniosła się do aniołków.

\*

## Sierpień 2003

Reflektory samochodu jasną smugą rozcinały mrok nocy, rzucając ostre światło na pofalowaną, dziurawą nawierzchnię drogi. Jechał niewiele powyżej setki – wystarczająco szybko,

by poczuć przyływ adrenaliny, ale na tyle wolno, by nie ryzykować utraty kontroli na zakrętach. Palce zaciśnięte na kierownicy lekko drżały, choć sam nie wiedział, czy to zmęczenie, czy napięcie.

Silnik warczał równomiernie, jego monotonne brzmienie stanowiło tło, niemal hipnotyczny, swoisty odpowiednik ciszy. Milczał wsłuchany w dźwięk mechaniki, jak gdyby wibracje samochodu były jedynym realnym elementem w tej nieprzeniknionej ciemności.

Co jakiś czas pochylał się nad kierownicą, zerkając na gwiazdy rozświetlające niebo. Błyszczały tak jasno, że wydawały się wręcz na wyciągnięcie ręki. Zimowa noc była bezchmurna, a krystaliczne powietrze czyniło nieboskłon jeszcze bardziej imponującym. Gwiazdy wyglądały tak samo jak wtedy, gdy miał osiem lat i leżał na polu za domem, wpatrując się w nieskończoność, marząc o...

„Nieważne” – pomyślał, potrząsając głową, jakby chciał odgonić wspomnienie, które na moment wciągnęło go w przeszłość. Zwolnił lekko przed kolejnym zakrętem, czując, jak chłód przenika do wnętrza samochodu.

Nagle w odległości kilkudziesięciu metrów przed nim coś pojawiło się na środku drogi. Ciemny kształt, ledwo widoczny w słabym świetle reflektorów, przypominał zarysem człowieka, choć zdawał się nienaturalnie statyczny. Adam zadrżał, włoski na jego przedramionach stanęły dęba, a jego palce zaciśnęły się jeszcze mocniej na kierownicy. Odruchowo wcisnął hamulec, a opony zapiszczwały, szukając przyczepności na wilgotnej nawierzchni.

Samochód zwolnił gwałtownie, zatrzymując się tuż przed sylwetką. Serce Adama biło jak oszalałe. Przez kilka sekund patrzył na kształt, próbując zrozumieć, co widzi.

Było to coś lub ktoś stojący dokładnie na środku drogi, z twarzą zwróconą w jego stronę. Reflektory wydobyły z ciemności niewyraźne szczegóły – ciemny płaszcz, który zdawał się falować na wietrze, i kaptur okalający głowę. Przez ułamek sekundy Adam był pewien, że sylwetka nie miała twarzy, a tylko nieprzeniknioną ciemność w miejscu, gdzie powinny być oczy, nos i usta. Nieznajomy nie poruszył się ani o krok, mimo że samochód zatrzymał się niecałe pięć metrów przed nim. Adam z trudem przełknął ślinę, czując, jak zimny pot spływa mu po karku.

– Co, do cholery... – wyszeptał, choć jego głos był ledwo słyszalny.

Sięgnął do przycisku blokady drzwi, niemal instynktownie upewniając się, że samochód jest zamknięty. Kształt wciąż trwał w miejscu, a cisza wokół zdawała się cięższa niż wcześniej.

I wtedy kształt zrobił krok w jego stronę.

\*

Anna obudziła się z lekkim uczuciem niepokoju, choć tłumaczyła je sobie ekscytacją. Była już pewna – tej nocy sen nie wróci. Przewróciła się na bok i spojrzała na zegar. Było kilka minut po czwartej i z każdą chwilą niebo zaczynało rozjaśniać się bladoniebieską poświatą.

Grzegorz miał przyjechać tuż przed świtem. Zawsze dotrzymywał słowa. Nigdy się nie spóźniał, co do tej pory Anna uważała za jedną z jego najbardziej niezawodnych cech. Leżąc na plecach, patrzyła na sufit i wsłuchiwała się w odgłosy budzącego się miasta.

Sięgnęła po ciepły szlafrok, zarzuciła go na ramiona i podeszła do okna. Bładość wschodzącego słońca malowała krajobraz miękkimi pastelowymi odcieniami różu i błękitu. Gwiazdy niemal całkowicie zniknęły, ustępując miejsca nowemu dniu. Spojrzała na zegarek. „Zaraz będzie” – pomyślała z uśmiechem.

Kiedy usłyszała ciche przekręcenie klucza w zamku, jej serce zabiło szybciej. Wiedziała, że Grzegorz zawsze próbuje wejść najciszej, jak to możliwe. „Nie chcę cię budzić” – mówi zawsze, choć wie, że ona nigdy nie śpi, gdy na niego czeka.

Szybko ruszyła w stronę korytarza, niemal biegła, by go przywitać. Uśmiech już zdobił jej twarz, gdy nagle zatrzymała się jak sparaliżowana.

Stał w progu, trzymając swoją torbę, którą zwykle zostawiał przy drzwiach. Ale tym razem coś było nie tak. W jego oczach kryło się coś, co wprawiło ją w drżenie. Były szeroko otwarte, jak gdyby czegoś się bał, ale jednocześnie emanował z nich dziwny chłód, nienaturalny dla Grzegorza, którego znała. Jej serce ścisnęło się w niepokoję.

– Grzesiu? – zapytała ostrożnie, niemal szeptem.

Nie odpowiedział od razu. Stał nieruchomo. Miała wrażenie że walczy z czymś w środku. Jego twarz wydawała się napięta, zmęczona, a na czole błyszczały krople potu, mimo chłodnego poranka.

– Wszystko w porządku? – zapytała ponownie, nie mogąc znieść ciszy.

Grzegorz w końcu drgnął, jak gdyby wybudził się z transu. Odstawił torbę na podłogę, wciąż unikając jej wzroku.

– Tak, wszystko dobrze – odpowiedział, ale jego głos był niski, niemal chrapliwy, jakby coś dusiło go w gardle.

Anna zrobiła krok w jego stronę, jednak coś ją powstrzymało. Ten niepokój w jego oczach – dziwne ciemne błyski, których nigdy wcześniej nie widziała – budził w niej irracjonalny lęk.

– Co się stało? – zapytała raz jeszcze, tym razem bardziej stanowczo.

Grzegorz odetchnął głęboko i w końcu spojrzał jej w oczy.

– Musimy porozmawiać – powiedział krótko.

Anna poczuła zimny dreszcz przebiegający po plecach. Coś było nie tak.

# Rozdział pierwszy

## Z dala od światel

Czerwiec 1998

Powietrze było ciepłe i lepkie niczym gęsty welon otulający wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Unosiła się w nim magia – nieuchwytna, ale wyczuwalna – jakby świat skrywał tajemnicę, która lada chwila miała się objawić. Adam Wojtacki siedział na przewróconym drzewie, którego kora była szorstka i porowata jak skóra starca. Obok niego, na tym samym pniu, usadowił się Grzegorz – jego najlepszy przyjaciel.

Adam ścisnął w dłoniach puszkę z najtańszym piwem, chłodną tylko na początku, teraz ciepłą i wilgotną od jego palców. Wpatrywał się w gwiazdy, które rozsypały się po niebie jak rozrzucone okruchy szkła. Każda z nich zdawała się pulsować własnym życiem, a między nimi Adam widział wzory, które tylko on potrafił odczytać. W tej nocnej scenerii było coś uspokajającego, ale zarazem niepokojącego – jak gdyby jakaś większa, nadprzyrodzona siła czekała w napięciu na coś, co miało się wydarzyć.

Było upalne lato, a ciepło dnia wciąż unosiło się z ziemi, mieszając się z zapachem wilgotnej trawy i sosen z pobl-



skiego parku. Z oddali dało się słyszeć cykanie świerszczy – ich monotonny koncert wypełniał ciszę, tworząc tło, które idealnie pasowało do rozmowy bez słów. Grzegorz milczał, ale jego obecność była jak kamień rzucony w gładką taflę wody – cicha, lecz nieprzypadkowa.

– Czasem mam wrażenie, że wszystko to jest snem – odezwał się w końcu Adam, nie odrywając wzroku od nieba.

Grzegorz nie odpowiedział od razu. Sięgnął po swoją puszkę, uniół ją do ust i upił duży łyk. Dopiero po chwili odparł:

– Może jest. Ale jeśli tak, to co z tego?

Adam spojrzał na niego z ukosa. W mroku jego sylwetka była zaledwie zarysem, ale spojrzenie przyjaciela zdawało się mieć własne światło.

– Gdyby to był sen, chciałbym, żeby trwał wiecznie – powiedział cicho.

Grzegorz wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że odpowiedź była zbyt oczywista, by ją komentować.

W oddali migotały światła osiedla. Adam zmrużył oczy, wpatrując się w nie. Pomyślał, że każdy taki punkt to czyjeś mieszkanie, w którym spotykają się, troski i marzenia. Świat pełen jest takich punktów – miejsc, gdzie rzeczywistość styka się z czymś większym, ważniejszym. Widział przez pryzmat wypitego alkoholu, że każdy taki letni wieczór nosi w sobie obietnicę cudu.

– Zacząłem pisać powieść życia – pochwalił się.

– Znowu? – odparł ironicznie Grzegorz. – To już trzecia powieść życia, człowieku!

– Tym razem serio! Mam świetny pomysł. Poza tym, dlaczego ty zawsze podcinasz mi skrzydła?

– Gdyby nie ja, już dawno byś zwariował i zapomniałbyś o rzeczach przyziemnych, takich jak jedzenie...

– Mnie nie interesują zwykłe rzeczy. – Adam nie ustępował.

– Ja ciebie rozumiem, ale świat ogólnie składa się też z rzeczy małych. Musimy myć zęby, chodzić do sklepu, żeby kupić ubranie czy parę butów. Nikt za nas tego nie zrobi. Ale nie mam zamiaru prawić ci morałów. Powiedz lepiej, o czym ta powieść.

– Pamiętasz nasze wejście do starej krypty?

– Zrobiłbym wszystko, żeby zapomnieć ten dzień. To było wtedy, gdy moja mama... – urwał, spuszczać głowę.

Adam poklepał przyjaciela po ramieniu, gestem przepraszając go za rozdrapanie rany, która jeszcze nie zdążyła się zabiżnić.

– To będzie kilka poprzeplatanych historii, których bohaterowie w różnych momentach życia zobaczą w najmniej oczekiwanym momencie... Wędrowca. Oczywiście nie będzie do końca wiadomo, czy im się przywidziało, czy dzieje się to naprawdę.

– Trochę oklepane – podsumował Grzegorz.

– Chcę dodać tej opowieści klimatu. Wiesz, takiej tajemniczej otoczki. Ten Wędrowiec nie zawsze będzie zwiastował zbliżającą się tragedię. Po prostu jego pojawienie się będzie podsuwało bohaterom odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, zwiastowało zmiany lub konfrontowało postacie z ich wewnętrznymi lękami.

– No, w twoim stylu. Mam nadzieję, że będę pierwszym czytelnikiem.

– Jak zawsze. Nie bez powodu spadłem ci z nieba – zaśmiał się Adam.

– Nie przesadzaj. Nie z nieba, tylko z sufitu – sprostował z uśmiechem Grzegorz.

– Myślę też, aby dla bezpieczeństwa wydać to pod pseudonimem.

– Brzmi sensownie. Masz już jakiś pomysł?

\*

Zapadał wieczór. Ciepłe światło lampy biurkowej rozlewało się po pokoju, rzucając miękkie cienie na książki i papiery, które spoczywały na solidnym ciemnobrązowym biurku. W powietrzu unosił się zapach starego papieru i atramentu – mieszanka, którą Cezary Jędrzyński uwielbiał od dzieciństwa.

Miał nieco ponad trzydzieści lat, chociaż gęsta broda postarzała go i na pierwszy rzut oka wydawał się sporo starszy. Był miśiowatej urody, z nieco za dużym brzuchem. Całości poważnego wizerunku dopełniały klasyczne okulary o grubej oprawie.

Usiadł przy biurku, pochylił się nad stertą korespondencji zalegającą na jego powierzchni i zaczął powoli porządkować otrzymane listy, oddając się rytuałowi, który miał w sobie coś uspokajającego. Od razu wrzucił do śmietnika reklamy. Rachunki włożył do odrębnej przegrody w szufladzie, po czym przeszedł do czegoś, co go zaintrygowało. Była to korespondencja od czytelnika.

Kiedy wieczne pióro dotknęło papieru, mężczyzna zamarł na moment, zastanawiając się, jak rozpocząć odpowiedź. Nie był to pierwszy list od początkującego pisarza, który dotarł na jego adres – wręcz przeciwnie, jego praca jako redaktora i krytyka literackiego sprawiała, że otrzymywał ich dziesiątki. Ale ten list był inny.

Styl autora – zapewne młodego człowieka, sądząc po nieco naiwnym entuzjazmie – miał w sobie coś, co od razu przykuło uwagę Cezarego. Czuł, że w tych słowach kryje się iskra, coś, co mogło rozkwitnąć pod odpowiednim ukierunkowaniem. Poza tym było w tym liście coś osobistego, jak gdyby autor nie tylko szukał rady, ale także zrozumienia – aprobaty, której dotąd nikt mu nie udzielił.

Cezary zaczął pisać. Słowa płynęły, jakby same układały się na papierze. Pozwolił sobie na kilka pochwał, ale też subtelnie zasugerował, gdzie widzi pole do poprawy. Znał zbyt dobrze pułapki przesadnego entuzjazmu – wiedział, jak łatwo można zrazić młodego autora nieodpowiednim tonem krytyki. Chciał go zainspirować, a jednocześnie nadać kierunek, który pomógłby mu się rozwijać.

Kiedy skończył pierwszą stronę, zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Była już prawie dziesiąta. Beckett wskoczył na biurko i zaczął ostentacyjnie miauczeć. Zwierzak najwyraźniej upominał się o kolację.

– Jeszcze chwila – mruknął pod nosem mężczyzna, po czym wrócił do pisania.

Druga strona listu była bardziej praktyczna. Cezary opisał proces, przez który przechodzi każda książka – od pierw-

szego szkicu aż po wydanie. Dorzucił kilka anegdot ze swojej pracy redaktorskiej, które mogły zarówno rozbawić, jak i nauczyć. Na koniec dodał, że chętnie przeczytałby próbkę twórczości autora, jeśli ten zechciałby się nią podzielić. „Proszę, nie przestawaj pisać” – zakończył. „Sądzę, że masz coś do powiedzenia światu, a to już pierwszy krok ku temu, by stać się prawdziwym pisarzem.”

Złożył starannie list, włożył go do koperty i zaadresował. Wiedział, że odpowiedź wyśle rano – teraz jednak poczuł satysfakcję, jaką daje dobrze wykonana praca. Beckett znowu miauknął, tym razem głośniej.

– No dobrze, już dobrze, idziemy – powiedział Cezary, podnosząc się z krzesła.

Pracownia pogrążyła się w półmroku, kiedy zgasił lampę. Zawsze lubił ten moment – chwilę, gdy dzień powoli ustępował nocy, a świat wydawał się na moment zatrzymać. W głowie wciąż miał treść listu i myśl, że być może właśnie teraz pomaga narodzić się kolejnej wielkiej literackiej karierze.

\*

Gosia była długowłosa, filigranową brunetką o nienaturalnie szczupłej, podłużnej twarzy. Zawsze roztargniona, ubrana byle jak. Koleżanki często śmiały się, że nosi ciuchy jak po starszej siostrze.

Właśnie malowała kolejny obraz. Zazwyczaj inspirowała się codziennym życiem oraz tym, co drzemało głęboko w jej podświadomości. Jej prace pokazywały wszelkiego rodzaju

fobie oraz ból. Na co dzień ludzie znali ją od pogodnej strony. Dopiero przy sztaludze ukazywała swoje prawdziwe, mroczne wnętrze.

Nie usłyszała nawet, jak Adam wszedł do jej mieszkania. Od kiedy dała mu swoje klucze, ten wykorzystywał każdą sposobność, aby zrobić jej niespodziankę. Nie inaczej było tym razem. Udał się bezpośrednio do jej pokoju i wręczył czerwoną różę.

– Kuku! – wykrzyknął, gdy odwróciła głowę w jego stronę.

– Nastraszyłeś mnie, czubku!

– Oj tam, oj tam! – odparł, uśmiechając się. – Najpiękniejszy kwiat dla mojej najpiękniejszej dziewczyny.

Gosia kochała jego uroczy, szczery uśmiech. Przytuliła go, po czym powiedziała, wracając myślami do rzeczywistości:

– Domyśl się, jaki tytuł ma ten obraz.

Praca przedstawiała tajemniczą postać rodem z koszmarów sennych, przypominającą rozkładającego się, świecącego ciemnożółtymi oczami trupa. Czerwone tło dodatkowo potęgowało nastrój tajemniczości. Najbardziej jednak niesamowita była mimika twarzy. Nie była to obojętna, trupia poza. Usta diabolicznej postaci były zastygłe w grymasie przypominającym uśmiech. Nie był to bynajmniej ironiczny śmiech, tylko coś przypominającego uzewnętrznienie stanu szczęścia.

— Niesamowite — zachwycił się Adam. — Co to jest, szczęśliwa śmierć?

— Ech! Jesteś bezbłędny — przyznała szczerze autorka. — Mógłbyś zostać krytykiem sztuki. To, co widzisz przed sobą, zatytułowałam: „Oczekiwana Śmierć”.

– „Oczekiwana Śmierć” – powtórzył Adam niemal szeptem, wciąż wpatrując się w obraz. Jego oczy przesuwaly się po każdym szczególe. Tło pulsowało czerwienią, a postać na obrazie patrzyła na niego z upiornym, niemal uwodzicielskim uśmiechem. Miał wrażenie, że z każdą chwilą twarz trupa zmienia wyraz – teraz uśmiech zdawał się jeszcze bardziej złowrogi, niemal triumfujący.

– Co cię zainspirowało? – zapytał, próbując brzmieć neutralnie, choć dreszcz przebiegł mu po plecach.

Gosia wzruszyła ramionami, zasiadając na stołku obok sztalug. Jej umazane ciemną farbą dłonie zaczęły machinalnie porządkować pędzle w słoiku.

– Sama nie wiem. Przychodzi do mnie samo. Te obrazy, te twarze... Pojawiają się w mojej głowie, jakby czekały, aż dam im życie na płótnie – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Adam milczał, czując narastające napięcie. Wiedział, że Gosia miała w sobie coś nieuchwytnego, coś, co fascynowało go od pierwszej chwili, ale teraz poczuł się przytłoczony.

– To nie jest tylko sztuka, prawda? – zapytał nagle. Jego głos był cichy, niemal stłumiony przez ciężką atmosferę w pokoju.

Gosia podniosła na niego wzrok. Jej spojrzenie było jasne, a jednocześnie pełne czegoś, czego Adam nie potrafił nazwać.

– Każdy artysta maluje to, co nosi w sobie. Ja... – zawahała się, bawiąc się pędzlem, który trzymała w ręce. – Maluję to, czego się boję, co mnie prześladowuje. Może to jakiś rodzaj terapii, może sposób na oswojenie lęku.

– Ale... śmierć? – Adam podszedł bliżej, wskazując na obraz. – Ona cię fascynuje?

Gosia zaśmiała się cicho, ale jej śmiech brzmiał bardziej jak westchnienie.

– Może. Albo po prostu próbuję ją zrozumieć. Ludzie boją się śmierci, bo nie wiedzą, czym jest. A może, jeśli nada się jej twarz, uśmiech, emocje, stanie się mniej straszna?

Adam przyglądał się jej przez chwilę, czując, że nie rozumie do końca tego, co mówi. Ale w jej oczach dostrzegł coś głębszego – mieszankę samotności, niepokoju i determinacji, jakiej wcześniej nie zauważał.

– Ty naprawdę jesteś niesamowita – powiedział w końcu, choć w jego głosie zabrzmiała niepewność.

Gosia wstała i podeszła do niego, delikatnie kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Nie bój się tego, co widzisz. To tylko obraz. – Jej głos był łagodny, niemal matczyzny. – Nie musisz wszystkiego rozumieć.

Adam kiwnął głową, choć w jego wnętrzu kłębiły się sprzeczne emocje. W głębi duszy wiedział jednak, że każdy obraz Gosi był czymś więcej niż tylko farbą na płótnie. Były to okna do jej duszy, a także drzwi do światów, które trudno było zrozumieć. Ostatecznie spuścił wzrok, a ona przytuliła go lekko, chcąc zdjąć ciężar, który sam na siebie włożył.

– Chodźmy na herbatę – powiedziała nagle. – Potrzebujesz czegoś, co wyrwie cię z tych myśli.

Adam zgodził się, ale zanim wyszli z pracowni, jeszcze raz spojrział na „Oczekiwaną Śmierć”. Miał nieodparte wrażenie, że postać z obrazu patrzy na niego inaczej niż wcześniej.



# Spis treści

Prolog	5
Rozdział pierwszy Z dala od światła	16
Rozdział drugi Propozycja nie do odrzucenia	32
Rozdział trzeci Wilhelm Keller – narodziny geniuszu	57
Rozdział czwarty Woj Dam	62
Rozdział piąty Wilhelm Keller – projekt „Odrodzenie”	78
Rozdział szósty Między książkami a rzeczywistością	82
Rozdział siódmy Na szczycie świata	103
Rozdział ósmy „Ewangelia Wspólna”	109
Rozdział dziewiąty Egzamin z życia	116
Rozdział dziesiąty Lato, które zmieniło wszystko	146
Rozdział jedenasty Labirynt umysłu	161
Rozdział dwunasty Wilhelm Keller – nowy początek	173
Rozdział trzynasty Cienie Notre-Dame-du-Port	182
Rozdział czternasty Wilhelm Keller – spotkanie dwóch cieni	196
Rozdział piętnasty Za kurtyną rzeczywistości	206
Epilog Cień pod gwiazdami	220